

Mój Brat Tadeusz

Mój Brat Tadeusz kochał muzykę. Prawie wszystko co robił w życiu, było związane z muzyką. Żył dla rodziny i dla muzyki. Mogę powiedzieć, że Tadeusz był Muzyką. Za każdy dodatkowo zarobiony grosz kupował płyty. Zawodowo pracował jako mechanik, a potem prezenter w radiowęźle Fabloku, zaś w weekendy prowadził wraz z kolegą Andrzejem dyskotekę, najlepszą w naszym mieście. Ja sprzedawałam bilety i pomagałam w księgowości oraz wypłacaniu wynagrodzenia, zatrudniali bowiem kilka osób do ochrony i sprzątaczkę.

Na tym zdjęciu Tadeusz z Jochenem, kiedy Brat był u Jochena w Berlinie.



Zawsze po dyskotekce szliśmy do mojego albo Brata domu i słuchaliśmy do późnej nocy muzyki z płyt. Potrafił zarazić swoją pasją wszystkich. Poznał osobiście Wojciecha Manna i Piotra Kaczkowskiego z radiowej Trójki. Na tamte czasy był to zaszczyt i gratyfikacja. Był dumny, że zna takie muzyczne osobowości. Czasem w warszawskim klubie Hybrydy zamienili ze sobą kilka zdań. Dla Brata to było wielkie spotkanie i potem ze szczegółami nam o tym opowiadał. Jeździł do tych Hybryd na płytowe giełdy, bo poza pracą zawodową i dyskoteką zgrzewał ręcznie foliowe koszulki na analogowe płyty i w ten sposób sobie dorabiał. Wkładał w tę pracę dużo serca i miał sporo zamówień. Na wyrób tych koszulek przywoził bele szklistej folii z Wąbrzeźna koło Torunia. Ciął je na mniejsze prostokątne kawałki przy użyciu metalowej listwy i tapicerskich nożyków, następnie składał na pół i zgrzewał brzegi lutkolbą.

Potem tak sklezione okładki umieszczają pod ciężarami, aby ładnie się wygładziły i kiedy były już dobrze sprasowane, pakował w mniejsze paczki i co wtorek zawoził do Warszawy, do wspomnianego klubu Hybrydy. Wyglądały naprawdę oryginalnie.

Piszę o tych koszulkach dlatego tak dokładnie, gdyż właściwie to one zdecydowały o Brata życia.

Pracy z nimi było sporo więc bratowa Ewa, nasz Tata i ja chętnie Tadeuszowi pomagaliśmy. Pamiętam te giełdowe wtorki, kiedy w środku nocy wracał ze stolicy do domu. Telefonował do mnie i z żarliwością opowiadał, ile koszulek sprzedał i ile nowych płyt rockowych i bluesowych kupił. Często biegłam do Niego po ciemnicy, aby posłuchać muzyki, a potem niewyspana, ale wypełniona pięknymi dźwiękami wstawiałam do pracy.

Wszystko szło dobrze i zamówień było dużo. Cieszyliśmy się, że praca Brata jest doceniana i te koszulki zabezpieczają cenne analogowe płyty.

Chcąc ułatwić sobie manufakturę do tej pory produkcję, Tadeusz kupił zgrzewarkę do folii PCV. Nie wiedział (a kto takie rzeczy wie), że ma genetycznie zakodowaną chorobę krwi o nazwie porfiria. Wtedy w Polsce chorowało na nią około 1500 osób. Żadne mecyje, wystarczyłoby wiedzieć, od których antybiotyków i innych lekarstw trzymać się z daleka.

Zgrzewarkę postawił w pomieszczeniu gospodarczym. Było w sam raz na tę robotę ale niewystarczająco wentylowane. Zdrowy mężczyzna, pewnego dnia padł nagle jak mrówka. Zatrut się oparami. Dostał okropnych bólei żołądka to było w Wigilię.

W naszym szpitalu lekarze nie mieli pojęcia co Bratu jest. Na wszelki wypadek zaaplikowali mu kroplówkę i kazali leżeć. Nie potrafili postawić diagnozy. Świąteczny okres rozleniwił pielęgniarki, wszyscy wszystkim ślą życzenia. W przeciągu jednego świątecznego tygodnia (Wigilia, pierwsze święto, drugie święto, odrabiany piątek, wolna sobota, niedziela, Sylwester), był już prawie całkowicie sparaliżowany, nie mógł już do nas mówić, tylko oczami i mimiką. Myślałam, że wysadzę szpital w powietrze, bo lekarze cały czas rozkładali ręce.

Po Nowym Roku wykonano dokładniejsze badania analityczne. Wyniki postawiły wszystkich na nogi. Diagnoza - zatrucie krwi. Prawie natychmiast helikopterem przetransportowano Tadeusza do Warszawy, do kliniki hematologicznej. To było 3 stycznia.

Trzy miesiące trwała walka o Jego życie. Lekarze z Instytutu Hematologii na ulicy Chocimskiej, prof. Kostrzewska i inni wspaniali lekarze, robili wszystko, aby ratować Brata. Każdego dnia, kiedy dzwoniliśmy rano słyszeliśmy, że nie doczeka nocy, a wieczorem mówiono nam, że nie dożyje do rana. Karuzela i huśtawka uczuć.

Pewnego dnia usłyszałam od pani profesor Kostrzewskiej:

„Medycyna wyczerpała już wszystkie środki, jakie mogliśmy zastosować i już nic dla Brata nie można zrobić, proszę się przygotować na najgorsze. Można teraz jedynie ulżyć jego cierpieniu, może rodzinie uda się załatwić materac przeciwodleżynowy”.

Z taką wiadomością wróciłam z Warszawy do domu. Dni Tadeusza były policzone. Poruszyłam ziemię. Nie było wtedy Internetu więc szukałam w książce telefonicznej kontaktu do osób, które mogą mieć materac przeciwodleżynowy oraz do redaktora Piotra Kaczkowskiego, muzycznego autorytetu Brata, który mógł chociaż po części ulżyć Tadeuszowi w bólu. Poprzez koleżankę koleżanki udało się, Piotr Kaczkowski napisał do Brata kilka ciepłych słów w liście na pięknym czerpanym papierze, dołączył także zdjęcie z koncertu White Snake w Paryżu i życzył Bratu powrotu do zdrowia. My i pielęgniarki czytaliśmy Bratu ten list trzymając go za rękę, a że lubił słuchać tych zdań, to nawet kilka razy dziennie. Płakał ze szczęścia, dziękował oczami i smutno się uśmiechał. Bardzo cierpiał.

Materac przeciwodleżynowy także udało się załatwić dzięki komunikatowi w radiu i pani Zielińskiej, która go zapowiedziała. Ale zanim Brat mógł się na nim położyć, zmarł. Dokładnie 4 kwietnia, po 3 miesiącach walki o życie. Miał 33 lata.

Ja wtedy umarłam na dwa, mało co pamiętam, co się wtedy wokół mnie działo, choć właściwie normalnie pracowałam i funkcjonowałam. Wszystkich w rodzinie bardzo dotknęła Brata śmierć.

Gdyby przeżył, dziś byłby rośliną. Jego organizm został totalnie wyniszczony przez porfirię, która atakowała organ po organie. Gdyby już na początku była dobrze postawiona diagnoza, uratowałby swe życie. Wtedy wystarczyłoby tylko, aby po wyzdrowieniu brał glukozę. Niestety, tydzień świąteczny w naszym szpitalu przekreślił mu tę szansę, a lekarze w Warszawie już niewiele mogli pomóc, choć robili wszystko, co w ich mocy.

Kochał Marka Knopflera i Erica Claptona, bardzo kochał swoją żonę, dzieci i nas. Walczyłam o Niego. Miałam wtedy 1 dolara, taki bon towarowy na szczęście w portfelu, a błagałam cały świat o ratunek i najpotrzebniejsze rzeczy, za które nawet nie wiedziałam, jak zapłacić. Wiele osób mi wtedy pomogło i ten dług spłacam z pokorą do dziś.

Kiedy w maju 2005 roku byłam na koncercie Marka Knopflera i latem 2006 na koncercie Erica Claptona, myślałam: Szkoda Tadeusz, że nie doczekałeś tych dni, bylibyśmy szczęśliwi słuchając razem ich muzyki.

Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą,
zostaną po nich buty i telefon głuchy,
tylko co nieważne jak krowa się wlecze,
najważniejsze tak prędkie, że nagle się staje
potem cisza normalna więc całkiem nieznośna,

jak czystość urodzona najprościej z rozpacz,
kiedy myślimy o kimś zostając bez niego.
/ks. Jan Twardowski/



Kochajmy ludzi, zanim opuszczą nas na zawsze.
Zielona Gałązka